

Gazeta Krakowska „Gazeta
in 1983–1988 Krakowska”
w latach 1983–1988*

ul. Chopina 1/6
30-047 Kraków
e-mail: slawomir_tabkowski@onet.eu

**Sławomir J.
TABKOWSKI**

KEY WORDS:

Polish press in the 1980s, Krakow's regional newspapers, *Gazeta Krakowska* (1983–1988), introduction of newspaper supplements, journalism's occupational prestige

SŁOWA KLUCZOWE:

„Gazeta Krakowska”, wydawnictwa emigracyjne, tematyczne dodatki, współczesne dzienniki, prestiż zawodu dziennikarza

ABSTRACT

This survey of the technological resources and managerial structure of *Gazeta Krakowska* in 1983–1988 deals with the functioning of its head office and the key assumptions of its editorial line; takes a look at *GK*'s colour editions and supplements; compares and assesses its functioning to that of today's newspapers; and muses on the declining prestige of the journalism in Poland..

ABSTRAKT

Warunki technologiczne i organizacyjne wydawania „Gazety Krakowskiej” w latach 1983–1988, organizacja pracy redakcji, wydania kolorowe i dodatki tematyczne, podstawowe kryteria i założenia linii programowej, porównanie do dzisiejszych dzienników i ich ocena, spadający prestiż zawodu dziennikarskiego w Polsce.

* Nakładem Wydawnictwa Naukowego „Śląsk” w 2014 r. ukazała się praca dra Sławomira J. Tabkowskiego „*Gazeta Krakowska*” w antrakcie. *Wspomnienia redaktora*. Autor w latach 1974–1983 był redaktorem naczelnym Krajowej Agencji Wydawniczej w Krakowie, w latach 1983–1988 redaktorem naczelnym „Gazety Krakowskiej”. Następnie kierownikiem Wydziału Propagandy KC PZPR, brał udział w obradach „Okrągłego Stołu”, uczestniczył w przeobrażeniach i likwidacji RSW – Prasa–Książka–Ruch. Praca jest pierwszą wypowiedzią dziennikarza na temat tamtego okresu, wnosząc także istotny wkład do prowadzonych badań prasoznawczych. Na kartach książki przywołano około tysiąca postaci — kiedyś i dzisiaj znanych powszechnie, czasem z różnych względów zapomnianych. Drukujemy wybrane fragmenty tej książki.

Streszczenie

Książka składa się z trzech głównych, często przenikających się, wątków. Pierwszy z nich — to doświadczenia wynikające z wykonywania ważnych funkcji. Najwięcej w nim miejsca zajmują dzieje „Gazety Krakowskiej”. Znaczenie tego, co ukazywało się na jej łamach, i jakie były okoliczności towarzyszące redagowaniu nie ogranicza się do regionu krakowskiego, odnosi się do całej ówczesnej Polski. Wspomnienia o pracy w „Gazecie” nie są prasoznawczą analizą zawartości tytułu, ale na pewno stanowią świadectwo tamtych czasów. Jest to o tyle ważne, iż powszechnie w życiu publicznym obowiązuje dziś konwencja prezentacji i oceny okresu PRL, jako „czarnej dziury”, w której nic dobrego i mądrego nie miało miejsca, bowiem *ex definitione* zaistnieć nie mogło. Drugi wątek ma charakter osobisty, wspomnieniowy. Ukazuje rodowód ideowy autora, te momenty z biografii, które są wspólne dla dużej części jego pokolenia. Pojawia się tam, gdzie sprawy prywatne wchodziły w związek z wykonywaniem funkcji publicznych. Wątek trzeci — to dygresje i polemiki wywołane różnymi publikacjami i zdarzeniami towarzyszącymi pisaniu wspomnień.

Lata świetlne dzielą ówczesną „Gazetę” od dzisiejszych dzienników — poza samą formułą druku na określonej powierzchni papieru — zmieniło się niezwykle dużo. Powszechny wtedy format dzienników — 414 x 588 mm — dwukrotnie większy od dzisiejszej „Gazety Wyborczej”, związany był z wymogami technicznymi określonymi wielkością pola zadruku maszyny drukującej. Często na tak dużą płachtę narzekali czytelnicy usiłujący czytać ją w tramwaju czy autobusie. Natomiast objętość była skromna — 6 stron (kolumn), a w piątki i soboty 8 (w przeliczeniu na powszechnie dziś formaty dzienników było to 12 bądź 16 stron), zawsze łamane w 8 szpalt. W wydaniach specjalnych i drukowanych w kolorze, kilkakrotnie „Gazeta” miała 10, a nawet 12 stron. Permanentny brak limitowanego zresztą papieru nie pozwalał na zwiększenie objętości, natomiast istniała możliwość zwiększenia nakładu z uwzględnieniem rygorystycznie przestrzeganych procentów zwrotów (nie mogły przekraczać średnio 2–3%). To nie jest pomyłka, choć taką się wydaje, w porównaniu do obecnie powszechnie przyjmowanych zwrotów w wysokości co najmniej 30%. Ówczesne zwroty miały charakter techniczny — np. paczka gazet podczas transportu wpadła do kałuży itp.

Codziennie wydania rozchodziły się w ok. 170 tys. egzemplarzy, sobotnie w ok. 210 tys., a piątkowe nawet w 400 tys. egzemplarzy. Były to najwyższe nakłady dziennika wydawanego w Krakowie. Jest prawdą, że nakład piątkowego wydania „napędzał” zawarty w nim tygodniowy program telewizji, ale i inne tytuły w piątkowych wydaniach także go zamieszczały. Prenumerata tytułu stanowiła niewielki procent nakładu, a więc — jak to ktoś określił — „Czytelnicy głosują nogami za Gazetą” udając się po nią do kiosku. Oprócz podstawowego terenu rozpowszechniania tytułu, jakim były trzy ówczesne województwa (krakowskie miejskie, tarnowskie i nowosądeckie) „Gazeta” docierała do Warszawy, a w okresie wakacyjnym nawet nad morze, gdzie odpoczywali jej całorocznicy czytelnicy. Tak więc, pomimo wspomnianych ograniczeń, nakład „Gazety Krakowskiej” był bardzo wysoki, a w porównaniu do dzisiejszych dzienników, wręcz imponujący (w 2012 roku średni nakład ogólnopolskiej „Gazety Wyborczej” oscylował w granicach 250 tys. egz., a w maju 2014 r., w porównaniu do roku wcześniejszego sprzedaż GW spadła o 16,43%, czyli sprzedaż wynosiła ok. 170 tys. egz.).

Drukowano GK tylko w jednym kolorze, w technice typograficznej z całą jej niedoskonałością, z wyjątkiem wydań świątecznych, w których dodatkowy kolor tradycyjnie kojarzony był z rodzajem świąt i porą roku: na święta państwowe — czerwony, na Boże Narodzenie — niebieski, a na Wielkanoc — zielony. Była

to niezwykle tradycyjna, że się tak ogólnie wyrażę, metoda druku. Kiedy w 1986 roku wyjechałem z grupą krakowskich dziennikarzy do Austrii na otwarcie wielkiej przeglądowej wystawy „SCHALLABURG '86 Polen im Zeitalter der Jagiellonen 1386–1572”, miałem okazję zwiedzić także jedną z wiedeńskich drukarni. Z szeroko otwartymi oczami gapiliśmy się wszyscy nie tyle na druk gazety w kolorze, ile na jej skład komputerowy i wyświetlane na dużych ekranach kolejne kolumny. Ale jeszcze wcześniej zdarzyło się coś szczególnego: przy przekraczaniu granicy czechosłowacko-austriackiej w dniu 4 maja nasz mikrobus musiał przejechać, a my przejść przez specjalny fragment jezdni nasycony jakimiś chemikaliami. Coś tam wtedy tłumaczono o jakiejś katastrofie elektrowni atomowej na Ukrainie (awaria nastąpiła 26 kwietnia), ale my, jako dobrze poinformowani dziennikarze, nie mieliśmy wtedy o tym zielonego pojęcia [....].

Struktura poszczególnych numerów „Gazety” była w miarę stała, co pozwalało czytelnikowi w łatwy sposób odnaleźć interesujący go materiał. Na I kolumnie tradycyjnie zamieszczano najważniejsze informacje. Często na podwale, na całą szerokość kolumny, drukowany był ważny, prowadzący numer tekst. Na kolumnie II, na szerokość dwóch szpał licząc od grzbietu, drukowane były wiadomości sportowe, natomiast w poniedziałki sport gościł na całej VI kolumnie. Na ogół na całej V kolumnie, poza piątkiem i sobotą, drukowano rozliczne ogłoszenia, czasem, gdy była ku temu potrzeba, zwiększano objętość „Gazety” o dodatkową kolumnę ogłoszeń w poniedziałki. Mutowaliśmy także kolumny z ogłoszeniami na teren poszczególnych trzech województw, a nadto na II kolumnie przedstawialiśmy „ogłoszenia ekspresowe”, dużo zresztą droższe. W piątek na VIII kolumnie znajdował się program telewizyjny na cały tydzień (w tamtym czasie dostępne były jedynie dwa programy TVP), mutacja miasto–teren (gazeta miała trzy mutacje, dla każdego z województw oddzielną) i 3 szpalty informacji „Co — gdzie — kiedy?” zawierającej repertuar kin, teatrów, tematykę wystaw, ale także listę i numery telefonów dyżurnych aptek i pogotowia ratunkowego oraz inne dane. W sobotę wszystkie te informacje pomieszczone były na kolumnie VII. Pozostałe wykorzystywano na druk różnych tekstów, często wzbogacanych grafiką lub fotografią. Dwa czterostronicowe wydania magazynowe różniły się preferowaną tematyką: w piątek na ogół przeważały materiały o charakterze społeczno-politycznym i szereg felietonów, m.in.: H. Cyganika, J. Kajtocha, Z. Kiszakiewicza, R. Smożewskiego, S. Stanucha i innych. W sobotę teksty obejmowały głównie problematykę społeczno-kulturalną i rozbudowywany dział różnego rodzaju poradnictwa: *Poradnik Babci Aliny* E. Lechowicz, *Rady, opinie* (o motoryzacji) W. Machnickiego; *Nowości z teki Eskulapa* W. Pstrąg-Dworzańskiej, a także *Zderzenia z Temidą* J. Hańderka, *Z Albionu* i kwadraty logiczne Jerzego Karo, krzyżówki oraz przegląd prasy. Od 27 kwietnia 1983 roku w śróde zaczął ukazywać się dwukolumnowy magazyn ekonomiczny „Realia”, w którym drukowali swe wypowiedzi m.in. J. Balcewicz, J. Hańderek, W. Machnicki, T. Ordyk, T. Stec, W. Żurawski. Podejmowaliśmy także kilkukrot-

nie, niestety nieudane, próby uruchomienia na naszych łamach *Gazety studenckiej* i *Gazety uczniowskiej*.

Na specjalną uwagę zasługuje sposób łamania i grafika GK, szczególnie strony tytułowej. W tamtych czasach w Polsce nie był wydawany żaden tabloid, a jedynie „Express Wieczorny” nawiązywał do przedwojennej prasy sensacyjnej. Charakterystyczne dla tych tytułów duże zdjęcia eksponowane na I kolumnie (od niedawna prezentuje je w ten sposób „Gazeta Wyborcza”) myśmy na ogół zastępowali grafiką, która była lepiej czytelna na kiepskim papierze i w druku typograficznym. Byliśmy pierwszym w prasie polskiej i jedynym w tamtym okresie dziennikiem, który wyróżniał się rozwiązaniami plastycznymi I kolumny. Początek dało wydanie z 3 maja 1983 roku, w którym nawiązaliśmy do kolejnej rocznicy uchwalenia konstytucji, drukując na szerokości pięciu szpalt m.in. jej kartę tytułową oraz rycinę Feliksa Jasińskiego „Ogłoszenie Konstytucji 3 Maja”. Później takich rozwiązań było wiele [...]. Interesujące poszukiwania plastyczne poszły tak daleko, że nawet cały układ główki tytułu zmieniał swoje miejsce. Później do tych poszukiwań dołączyły kolorowe wydania.

Projekty układu poszczególnych kolumn powstawały w sekretariacie odpowiedzialnym, a magazynów w redagujących je zespołach. Na specjalnych wzorach — schematach kolumn, dzielonych na szpalty i dodatkowo na mniejsze ich części, rozrysowywano obraz przyszłej strony gazety, uwzględniając wielkość poszczególnych tekstów, tytuły, zdjęcia itp. W tamtych czasach, gdy w Krakowie było zaledwie kilkanaście komputerów (na wyższych uczelniach i w niektórych instytucjach branżowych) skład materiałów do druku był niezwykle pracochłonnym i skomplikowanym procesem. Prawie wszystkie teksty docierały do redakcji odręcznie pisane, w hali maszyn przepisywano je i maszynopisy, po akceptacji do druku, uwagach oraz adiustacji redakcyjnej, przekazywano do drukarni. Tu, na linotypach w tzw. gorącym składzie zecerzy odbijali w ołowiu poszczególne wersety pisma (na szerokość jednej szpalty, chyba, że była inna dyspozycja), a te z kolei metrampaże formowali w poszczególne szpalty i kolumny. Odbite strony przejmował dział korekty oraz sekretariat odpowiedzialny celem sprawdzenia poprawności pisowni, oceny i ewentualnej weryfikacji zaplanowanego materiału.

Nie wdając się szerzej w opis procesu drukarskiego dodam, że obowiązywały ściśle terminy oddania do druku poszczególnych materiałów, a także samego druku, który na ogół rozpoczynał się około godz. 22.00, ale bywało, w szczególnych okolicznościach, że i o 1.00 w nocy (wtedy budżet redakcji obciążany był dodatkowymi kosztami). Na wydrukowanie pierwszego egzemplarza, w nocnej redakcji „Gazety” mieszczącej się w budynku drukarni, oczekiwał dyżurny redaktor depeszowy i dyżurny członek kierownictwa redakcji. Depeszowiec przeglądał wydruk, podpisywał i wtedy dopiero ruszał druk całego nakładu. Dodam, iż niejednym razem i ja czekałem na te pierwsze egzemplarze. Bywałem tam z różnych powodów, ale zawsze niezwykle i szczególne było to doświadczenie, bo oto miałem przed oczyma

kolejne, zmaterializowane wydanie naszych wspólnych pomysłów i wysiłków¹. I ten zapach nowo wydrukowanej gazety (inni nazwali by go zapewne smrodem) — najwspanialszy i nieporównywalny — do którego nie umywały się ani ówczesne perfumy, ani dzisiejsze Chanel 5, Lolita Lempicka czy Hugo Boss!

O pracy redakcji, z okazji 190. rocznicy powstania naszego tytułu w XVIII wieku, pisał Olgierd Jędrzejczyk w tekście *18 godzin „Gazety Krakowskiej. Dzień i noc — czyli wszystko*².

We wcześniejszych okresach partyjne dzienniki były często deficytowe bądź przynosiły niewielki zysk, a do ich czytania „zachęcano” obowiązkową prenumeratą realizowaną m.in. przez zakłady pracy. Od lat 70. uległo to zasadniczej zmianie, poza stałe deficytową „Trybuną Ludu”. Nie posiadając dostępu do analiz ekonomicznych Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego, a jednocześnie pragnąc omówić sytuację finansową GK posłużę się fragmentami tekstu zamieszczonego na naszych łamach:

Na początek, jaki mamy NAKŁAD — w I kwartale 1983 r. średni nakład „Gazety Krakowskiej” wynosił 202.800 egzemplarzy dziennie. Przy czym wydanie piątkowe, ukazywało się w nakładzie średnim 336.000 egzemplarzy, zaś wydania w pozostałe dni w nakładzie 180–190 tys. egzemplarzy. Z tego globalnego nakładu ponad 200 tys. egzemplarzy, w styczniu br. średnie zwroty niesprzedanych „Gazet” wynosiły 3703, w lutym br. 6258, zaś w marcu 1983 r. 5609 egzemplarzy... ILE TO KOSZTUJE? W I kwartale br., kiedy średni nakład wynosił 202.800 egzemplarzy koszty ogólne druku wszystkich 76 numerów pisma, które się w ciągu tego kwartału ukazały wyniosły 48.425.000 zł. Oznacza to, iż każdy numer w owym ponad 200-tysięcznym nakładzie kosztował nas 637.171 zł. W kosztach ogólnych najpoważniejszą pozycję stanowią koszty papieru na którym drukuje się „Gazetę” ... I kwartał br. w sumie 21.920.000 zł, czyli 288.421 zł za każdy numer... ZYSK „Gazety Krakowskiej” w I kwartale br. wyniósł 16.614.000 zł, czyli 218.605 zł na numer... Powyższe dane publikujemy jako pierwszy dziennik w kraju z kilku powodów. Dlatego, że reforma, o której tak dużo piszemy i nas dotyczy. Dlatego, że jako dziennik PZPR jesteśmy czasem pomawiani o to, iż niewielu nas czyta. I dlatego, że nie mamy czego ukrywać przed ponad 200 tysiącami kupującymi „Gazetę”, nie mówiąc już o wszystkich naszych Czytelnikach³.

Powyżej cytowane dane dotyczą początków mojej pracy w „Gazecie” — w miarę upływu czasu wszystkie przytaczane wskaźniki uległy poważnej poprawie. Warto w tym miejscu dodać, że jeżeli w 1989 roku średni dzienny nakład GK

¹ Mark Twain redagując gazetę na Dzikim Zachodzie pisał, iż rano, a nawet w południe, nic nie wskazywało na to, że jutro ukaże się kolejny numer. Ja takie obawy miałem na samym początku pracy, martwiąc się, iż może zabraknąć materiałów. Rzeczywistość okazała się zupełnie inną — były na ogół w nadmiarze, a problem sprowadzał się do ich jakości i poziomu.

² 5.06.1983.

³ W. Machnicki, „Gazety Krakowskiej” portret finansowy (30.06.1983).

wynosił 183 tys., to w 1990 r., już w nowych warunkach politycznych i z ciągle zmieniającym się kierownictwem redakcji, 70 tys., by w 1995 r. dojść do 30 tys.⁴

Nie była ukrywana także wysokość miesięcznych zarobków dziennikarzy. Zachowały się dokumenty o moich miesięcznych pensjach: w 1983 roku było to 23 tys. zł, a w porównaniu do ówczesnego przeciętnego wynagrodzenia wynoszącego 14.475 zł stanowiło to 1,58, natomiast w 1987 roku ten wskaźnik wzrósł do 1,9⁵. Pensje pozostałych osób zatrudnionych w redakcji były oczywiście niższe i zależały od pełnionych funkcji, ale rzeczywisty obraz zarobków musi uwzględniać fakt, iż w bardzo poważny sposób wpływały na nie honoraria autorskie. System płac w redakcji preferował dziennikarzy piszących dużo i dobrze, i stąd ja, pomimo licznych własnych tekstów, w tym rankingu zarobków ogółem mieściłem się co prawda w pierwszej szóstce najlepiej zarabiających, ale nigdy na „medalowym” miejscu. Tak jak powszechnie znane było miesięczne wynagrodzenie wszystkich zatrudnionych w „Gazecie” osób, tak samo do publicznej wiadomości podawane były otrzymywane honoraria. Każdego dnia rano na tablicy wiszącej obok sekretariatu odpowiedzialnego wywieszana była aktualna „Gazeta” z naniesionymi wcześniej przez sekretarza odpowiedzialnego Władka Penara „wycenami” — czarnym mazakiem na tekstach artykułów. Ponadto istniały dwie pule środków honoraryjnych, którymi dysponowałem ja i kolegium redakcyjne. Tę pierwszą przyznawałem za wybitne pomysły, inicjatywy i sposób łamania tytułu, drugą kolegium nagradzało najlepsze teksty miesiąca. Nagrody redaktorowi naczelnemu mógł przyznać prezes RSW bądź dyrektor Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego, ale zdarzyła się na jednym z posiedzeń kolegium sytuacja, iż nieświadomie „otrzymałem” taką nagrodę. Ileś dni wcześniej czytałem w nocnej redakcji tekst sprawozdania z jakiejś „partyjnej nasiadówki”, i uznając go za bardzo słaby poprosiłem autorkę o poprawienie. W odpowiedzi usłyszałem, że tak było jak napisała i nic nie potrafi zmienić. Zapytałem czy mogę poprawić, i ten mój — nie mój artykuł otrzymał nagrodę miesiąca. Autorka nie zapomniała postawić kawę.

Pomimo tego, że „Gazeta” była dziennikiem, teksty w niej zamieszczane zbyt często swą wielkością przypominały publikacje charakterystyczne dla tygodników społeczno-kulturalnych. Poza I kolumną ta ówczesna maniera dotyczyła na ogół kolumn III i IV. I jeżeli w magazynach Piątek i Sobota, z uwagi na ich charakter, było to do zaakceptowania, to w pozostałych sytuacjach te „hektary” stanowiły jakieś fatum, z którym nie można było sobie poradzić. Przyczyn było zapewne kilka: odwzorowywanie obszernych tekstów agencyjnych (często obowiązkowych);

⁴ W.M. K o l a s a, „Gazeta Krakowska” na tle małopolskiej prasy regionalnej (1989–2000), s. 2, eprints.rclis.org/16492/1/kolasa_gazeta_krakowska_2001.pdf.

⁵ Te dane, wg Sedlak & Sedlak Wynagrodzenia.pl, są porównywalne do obecnych zarobków redaktorów naczelnych prasy terenowej, bez uwzględnienia honorariów i przyznawanych często benefitów.

pogląd, iż podejmowany temat omówić należy dokładnie, klarownie i zrozumiale; przekonanie, że duży tekst nabiera ważności poprzez swą obszerność; format gazety pozwalający na zamieszczanie na jednej stronie sporych artykułów, ale również — co niebagatelne — wysokość autorskiej wierszówki uwzględniającej także wielkość materiału [...].

W tamtych czasach byliśmy jedynym dziennikiem tak często korzystającym z zapowiadanych bądź już wydanych książek. Druk książki lub jej częściowe wykorzystywanie w periodyku jest oczywiście praktyką znaną od wielu dziesięcioleci, dość przypomnieć *Ogniem i mieczem*, którą drukowano pierwotnie w „Słowie”. Niestety na łamach „Gazety” nie mieliśmy pierwodruku żadnej powieści, ani też pisanej w odcinkach specjalnie dla nas, ale z większymi opracowaniami popularno-naukowymi było inaczej.

Już w czasie, gdy objąłem funkcję redaktora naczelnego, drukowany był w magazynie Sobota pierwszy odcinek cyklu *Żywoty królów* autorstwa Feliksa Kiryka, przygotowywanego specjalnie dla „Gazety”. Pomysł tej publikacji nie tylko uwzględniał potencjalne czytelnicze zainteresowanie tekstem, ale i co za tym idzie — tytułem. Materiał, w zamyśle autora, prezentował przede wszystkim historię państwa polskiego, dzieje jego wielkości i słabości, preferując jego wagę i znaczenie dla losów narodu. Miał więc powyższy cykl, cieszący się sporym zainteresowaniem, swoje aktualne odniesienia. Pierwszy odcinek pt. *Kazimierz Wielki* ukazał się w świątecznym wydaniu 24–26 grudnia 1982 roku, a ostatni, zatytułowany *Prof. Feliks Kiryk* (wywiad z autorem cyklu przeprowadziła U. Orman) w wydaniu z 7–8 lipca 1984 roku.

Podobny charakter miał cykl tekstów Aleksandra Krawczuka — *Cmentarz Rakowicki — próba przewodnika*, publikowanych od 1983 do jesieni 1986 roku (potem autor objął tekę ministra kultury), w którym przypomniane zostały znane, a dziś często zapomniane, postaci — ich dokonania i losy. Oto fragment z tego cyklu zatytułowany *Jerzy Samuel Bandtkie*:

Nam trudno dziś określić i ocenić w liczbach ogrom pracy i zasług Bandtkiego przy porządkowaniu i wzbogacaniu biblioteki, różne jednak wskazówki dowodzą, że dzieło jego zasługuje na najwyższy podziw. Pamiętnikarz Kazimierz Girtler, który jako chłopiec mieszkał wraz z rodziną w gmachu biblioteki, to jest w obecnym Collegium Maius — jego ojciec był profesorem — i codziennie stykał się z Bandtkiem, tak o tym mówi: W bibliotece, której się poświęcił, którą wydobył z okropnego nieładu, uporządkował, pomnożył, nie można go było więcej podrażnić, jak skoro który z młodzieży zażądał w lektorium jakiej powieści, a straż Panie — romansu. Wtedy kiwnął ręką, cisnął się w bok, a znajomemu powiedział: Nu, kto głupstwa czyta, głupim będzie! Przeciwnie żądającym dzieł poważnych, historycznych, pomagał, nadśługiwał, pilnym uczniom prawdziwym był przyjacielem, bo też dni jego, chwile jego liczyły się pracą⁶.

⁶ 30.11–1.12.1985.

Drukowaliśmy także, jako pierwsi w Polsce, teksty znane już na Zachodzie z wydawnictw emigracyjnych bądź też wspomnienia — pamiętniki wcześniej niepublikowane. Należały do nich m.in.:

- *Obrona Lwowa — wrzesień 1939 r.* — wspomnienia gen. Stanisława Maczka zaczęliśmy publikować w kilku kolejnych odcinkach od 27.11. do 18.12.1987. Pamiętniki drukowaliśmy za zgodą londyńskiego wydawcy p. Jerzego Kulczyckiego wg wydania II, Stanisław Maczek, *Od podwody do czołga. Wspomnienia wojenne 1918–1945*, Orbis Books (Londyn). Poprzedzał je odredakcyjny komentarz:

Dokonując wyboru kierowaliśmy się zasadą reprezentatywnego ukazania najistotniejszych wydarzeń w życiu Autora, jego dokonań, także losów żołnierzy związanych z Generałem [...] Gen. S. Maczek jak i dziesiątki innych oficerów zostali w 1946 r. objęci dekretem o odebraniu obywatelstwa polskiego. Cofnięto ten dekret bardzo późno i przy mniejszym rozgłosie niż go wydawano. Pamiętników Generała dotychczas, poza naszymi fragmentami, nie opublikowano w Polsce w formie książkowej. Wiemy, że toczą się rozmowy z londyńskim wydawnictwem „Orbis-Books” w tej sprawie. Czas najwyższy, by w pełni zamknąć tę sprawę. Postać Generała i Jego żołnierzy winny na stałe zająć należne miejsce w historii Polski i polskiej wojskowości.

- *Z Malty do Gibraltaru* —

Dwa dni temu drukowaliśmy na łamach naszej „Gazety” wspomnienie o nieżyjącym komandorze, Borysie Karnickim, dowódcy ORP „Sokół”. Dziś dzięki uprzejmości jego małżonki, dr Jadwigi Karnickiej, zamieszkałej w Londynie, prezentujemy fragment z niedrukowanej jeszcze książki komandora pt. „Marynarski worek wspomnień”;

- *Dotknąć ojczyźstej ziemi...* —

Jerzy Iszkowski, młody pilot krakowskiego pułku lotniczego, rozbitego w pierwszych dniach września 1939 r. przez hitlerowską Luftwaffe, postanawia walczyć, by pomścić upokorzenie. Nim usiądzie za sterem bojowej maszyny, nim spotka się oko w oko z wrogiem musi przedzierać się przez Rumunię i Francję na Wyspy Brytyjskie. Uczucie upokorzenia idzie w parze z chęcią zemsty i ostatecznego zwycięstwa nad wrogiem. W „GK” w dniu 22 sierpnia drukowaliśmy część pamiętników bohaterskiego pilota z okresu broniącej się Anglii. Dziś dalsza część pamiętników opisująca powrót Iszkowskiego do kraju i jego walkę w oddziałach partyzanckich⁸.

⁷ 10.05.1985. Także *Enkomion 1949* — niepublikowane wcześniej wspomnienia prof. dr hab. Mieczysława Politowskiego z okresu, gdy jako lekarz w 1949 roku walczył w szeregach Armii Demokratycznej Grecji — 17.05.1985.

⁸ 26.08.1985.

J. Iszkowski w latach stalinizmu był niesłusznie, jak wielu innych, którzy powrócili do Polski z Zachodu, więziony. Po Październiku 1956 roku stał się jednym ze współtwórców odnowienia Aeroklubu Podhalańskiego w Nowym Sączu, a od 1960 r. był kierownikiem lotniska w Łososinie Dolnej. Pamiętam go, zawsze w skórzanym płaszczu lub kurtce, na licznych spotkaniach, także w moim liceum. Na wystawie sprzętu lotniczego, kiedy jakiejś starszej parze tłumaczyłem dlaczego szybowiec nie mający silnika potrafi latać, zaproponował mi udział w kursie szybowcowym. Niestety musiałem odmówić w związku z poważną wadą wzroku. [...]

Wydarzeniem nadzwyczajnym w tamtych czasach był cykliczny druk w partyjnej gazecie kilku fragmentów książki Bohdana Cywińskiego *Rodowody niepokornych*, wydanej przez Bibliotekę Więzi — Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, a także przez Editions Spotkania w Paryżu w 1985 roku. [...]

A ponadto:

- *Pamiętnik łączniczki* — nigdy wcześniej nie publikowane wspomnienia Anny Hołubowicz-Gadkowskiej — fragment wstępu:

Brałam udział w Powstaniu Warszawskim jako łączniczka księdza kapelana ps. „Marian”, w plutonie Słuchawki. Mój ps. „Iwona”. Pamiętnik ten pisałam w październiku 1944 r., w trzy tygodnie po powstaniu. Miałam wtedy 17 lat i patrzyłam na wszystko oczyma młodej dziewczyny, romantycznej i zakochanej w swoich chłopakach... Nie patrzcie na to inaczej — to nie jest powieść — to są przeżycia autentyczne... Ojciec autorki pisał z obozu jenieckiego w Murnau do żony: „dobrze, że masz córkę, a nie syna”. Jakże się mylił. Jako łączniczka przeszła bohaterski szlak powstańczy na Żoliborzu w zgrupowaniu „Żywiciel”. Straciła w powstaniu najbliższe jej osoby — matkę, przyjaciół. Po kapitulacji, po licznych perypetiach, trafiła do Milanówka, gdzie znalazła czas na to by spisać najtragiczniejsze 63 dni, jakie dane jej było przeżyć. Pamiętnik trafił do szuflady i przeleżał w niej nietknięty do dzisiaj. Pretekstem do jego wydobywania było odnalezienie po czterdziestu latach jednego z bohaterów jego kart. Dzisiaj i w następnych numerach GK prezentujemy tylko drobny wybór całości — po przepisaniu z grubych brulionów liczy ok. 200 stron... Pani Anna Hołubowicz-Gadkowska po wojnie osiedliła się w Krakowie. Tutaj ukończyła studia. Do dzisiaj pracuje, jest adwokatem⁹. [...];

- Waldemara Łysiaka *MW (MUZEUM WYOBRAŹNI, MARZENIA WARIATA, MAGIA WŁADZY, MIT WIECZNOŚCI, MELANCHOLIA WĘDROWCY, MELODIA WOLNOŚCI* — proponowane przez autora odcyfrowanie tytułu książki) drukowane od 26–27 marca do 10 września 1983 roku [...];
- Kazimierza Wyki *Dwie jesienie i Pamiętnik po klęsce*:

⁹ 1–2. i 8–9.08.1987.

Lata okupacji hitlerowskiej spędziłem prawie bez przerwy w rodzinnym miasteczku Krzeszowicach, podówczas siedzibie generalnego gubernatora Hansa Franka [...] Wszystkie te lata były jednym wielkim wyjazdem w teren — swojego narodu, wojny i teren historii. Wyjazdem, jakiego przed wojną nie znalazłby nigdy w tym wymiarze ówczesny asystent uniwersytetu, a już na pewno nigdy nie znalazł powojenny profesor... Dzisiaj po kilkunastu latach widzę, że wszystko to są jedynie dokumenty, w których ani cokolwiek zmienić, ani z nieużytej mąki obserwacji coś tam jeszcze dorzucić. Takie stare ciasto nie daje się już zarabiać w nowe formy. Puszczam je w świat takim, jakim się upiekło, w nadziei, że jako dokument dla samego piszącego, tym więcej może to być dokument nie pozbawiony interesu dla tych, co okupacji hitlerowskiej w latach 1939–1945 nic przeżyli na własnej skórze¹⁰;

- Jerzego W. Borejszy *Piękny wiek XIX*:

Przymiotnika „piękny” używam bez cienia ironii, albowiem my, historycy, wiemy, iż wiek dziewiętnasty był stuleciem rozwoju, postępu: złudzeń i nadziei ludzkości, wiekiem, który w odczuciu powszechnym miał zrodzić lepsze czasy, wiekiem różniącym się tak zasadniczo od naszych dni. w których rządy, politycy i myśliciele są w stanie oferować sobie przede wszystkim wizje zagłady ludzkości... ciągle otwarte jest pytanie czy wiek XIX oddalił się już na tyle, zwłaszcza przez tę wyraźną cezurę, jaką stanowiła dla Europy i świata II wojna światowa — że uległ pewnej mitologizacji, czy nadal, mimo wszystkie burze dziejowe ostatnich dziesięcioleci pozostał pociągającą skarbnicą wartości, postaw?¹¹;

- Egona Erwina Kische *Pułkownik Redl* — kilka odcinków zapożyczonych z klasyki dziennikarskiej literatury *Jarmark sensacji*¹²;
- Raymonda Poincare *Tragiczne dni* — fragmenty książki wybitnego francuskiego męża stanu, premiera Republiki Francuskiej w latach 1912–1913, prezydenta tej republiki w latach 1913–1920¹³;
- Olgierda Terleckiego *Nie ma końca wojnom*:

Publikować będziemy wybór dotyczący formowania się granic odrodzonego państwa i kształtowania się wschodniej polityki II Rzeczypospolitej. Okres dwudziestolecia międzywojennego; jeden z ważniejszych etapów polskiej państwowości: odradzającej się po długotrwałych rozbiorach jest nie do końca znany nawet tym ze starszych Czytelników, którzy mieli możliwość przeżyć go osobiście. Narosło wokół niego wiele mitów i nie-

¹⁰ Druk siedmiu odcinków zaczerpnęliśmy z książki *Życie na niby* (28–29.07.1984).

¹¹ Książka pod tym samym tytułem ukazała się w „Czytelniku”, tekst drukowaliśmy 17–18.11.1984.

¹² 13.04.1987.

¹³ *Geneza, wojny światowej. Sześć odczytów wygłoszonych w Paryżu w roku 1921*, książkę wydano w Krakowie w 1921 roku, a jej fragment przedstawiliśmy 25.01.1985. Tę problematykę kontynuowaliśmy w roku następnym drukując, jako pierwszy odcinek, tekst autorstwa Bernta Engelsinga *W październiku 1914 roku wojna była przegrana* (17.10.1986).

porozumień, upowszechnianych celowo czy nieświadomie, szczególnie wśród młodego pokolenia Polaków. „Z dziejów II Rzeczypospolitej” Olgierda Terleckiego jest obiektywną i źródłowo sprawdzoną historią okresu niepodległości, która wybuchła w 1918 roku i dokonała się w momencie hitlerowskiej agresji z września 1939 r. W międzywojennym dwudziestolecu nie brakuje sukcesów, ale też gorzkich klęsk¹⁴;

- Zbigniewa Świącha *Kto zamknie wieko?*:

Autor podjął próbę wyjaśnienia tajemnicy „kłątwy Jagiellończyka” porównywanej w prasie światowej do „kłątwy faraonów”. Chodzi tu o serię zagadkowych śmierci osób obecnych przy otwarciu grobowca Kazimierza Jagiellończyka. W prezentowanym obecnie przez GK wyborze autor zajął się innym z Kazimierzy — Wielkim, którego grób został otwarty w 1869 roku. Problem powtórnego pochówku króla stał się wówczas przedmiotem namiętnych sporów i dyskusji. „Gorączka” była taka, iż o mało nie doszło do jawnych demonstracji i zamieszek. Zbliżał się termin pogrzebu...¹⁵;

- Przemysława Osuchowskiego *Każdy dzień życia zawdzięczam...*

Reporter „Gazety” spędził w Wojewódzkim Ośrodku Kardiologii w Zabrze kilka miesięcy. Noc z 11/12 maja tego roku również. Był nie tyle obserwatorem tych dramatycznych wydarzeń, co ich uczestnikiem. Powstała dzięki temu książka daje świadectwo tytanicznej walki zabarskiego zespołu o sukces dla polskiej kardiologii w dziedzinie transplantacji serca. W świecie dokonuje się już rocznie setek przeszczepów serca. W Polsce od pionierskiego przeszczepu prof. Jana Moła minęło 16 lat. Dalszy ciąg „napisano” dopiero w listopadzie 1985 roku w Zabrze. W bólach, zwątpieniu, ale z ciągle powracającą nadzieją i przeświadczeniem, że obrana droga jest właściwa. Przeszczep dokonany w maju 1986 roku u krakowianina Piotra Macury potwierdził to przeświadczenie. Pacjent nie tylko szczęśliwie przetrwał sam zabieg, ale w okresie rekonwalescencji nie dostarczał już lekarzom żadnych nerwowych wstrząsów. Między ósmym a dwunastym dniem po transplantacji najczęściej występują objawy odrzutu, tym razem szczęście dopisało bohaterom tej historii...¹⁶;

- Macieja Pękali *Mysł algorytmicznie*:

Osobom postronnym programowanie maszyn cyfrowych wydaje się czynnością skomplikowaną i wymagającą wyjątkowych kwalifikacji. Tak było kiedyś, gdy informatyka dopiero raczkowała. Wraz z jej rozwojem powstały tzw. języki wysokiego poziomu, które bardzo ułatwiły kontakt z komputerami. Należący do nich język BASIC operuje prostym aparatem pojęciowym i nie wymaga obycia z matematyką w zakresie większym niż elementarny. Już po kilku godzinach intensywnej nauki BASIC osoba nie mająca do

¹⁴ 16–17.03.1985.

¹⁵ Drukowaliśmy kilka fragmentów książki *Kłątwy, mikroby i uczeni* (30.11–1.12.1985).

¹⁶ 18–19.10.1986.

tej pory do czynienia z programowaniem może zacząć pisać własne, nawet dość złożone programy. Otwieramy dziś nową rubrykę... Jest ona adresowana zarówno do właścicieli mikrokomputerów, osób stykających się z nimi w pracy, jak i tych, którzy nie mają do nich dostępu. Kontakt z komputerem nie jest bowiem niezbędny do nauki programowania¹⁷.

Dodać należy, iż poza specjalistycznymi wydawnictwami, byliśmy jedynym w kraju dziennikiem przybliżającym w tamtych czasach przez kilkanaście tygodni w piątkowych wydaniach — a więc w co najmniej 300 tys. egzemplarzy — nową, nieznaną wtedy rzeczywistość wirtualną;

- Bogdana Szczygła¹⁸ *Akcja pod Bezdunami* — zbeletryzowana opowieść o napadzie na stacji kolejowej Bezdany pod Wilnem we wrześniu 1908 roku, na rosyjski pociąg pocztowy przewożący pieniądze. Akcja, którą kierował Józef Piłsudski, była jedną z najbardziej znanych operacji ekspropriacyjnych Organizacji Bojowej PPS, przynosząc bojowcom zdobycz ok. 300 tys. rubli, przeznaczoną później na dalsze prowadzenie walki. Bogdan Szczygieł był z zawodu lekarzem i wiele lat pracował m.in. w Afryce. Plonem pobytu były liczne książki, ale także powstałe dzięki ofiarowanym przez niego eksponatom, Muzeum Afrykanistyczne w Olkuszu, noszące jego imię. Pasjonował się również najnowszą historią Polski. Zmarł 1 grudnia 1986 roku, nie doczekawszy druku pierwszego odcinka *Bezdan*. [...]

Była jednak dziedzina, w której to my wyprzedziliśmy o lata świetlne współczesne dzienniki — byliśmy pierwsi wydając rozliczne tematyczne dodatki. Spełniały kilka funkcji: umacniały więź tytułu z czytelnikami, prezentowały inicjatywę redakcji, zapewniały masowy druk pewnych materiałów, które w oficynach wydawniczych długo czekałyby na realizację i — co równie ważne — przynosiły znaczący dochód. Niewątpliwie podjęcie przez „Gazetę” tego rodzaju dodatkowej działalności wiązało się ściśle z moimi wcześniejszymi doświadczeniami w wydawnictwie, które przenieśliśmy na grunt prasowy. I tak w kolejnych latach wydaliśmy:

- w 1983 r. — wkładki: *Kodeks drogowy* i *Nowa taryfa celna*. Świątecznym prezentem „Gazety” dla dzieci była kolorowa książeczka A. Torbusa *Przedszkolaka elementarz dziejów*. Oddzielną broszurę stanowił *Cmentarz Rakowicki w Krakowie* (szkic do przewodnika autorstwa K. Jabłońskiej), druk b-cz., 48 stron A4, 70 tys. egz. — cena + 10 zł na odnowę zabytków Cmentarza Rakowickiego.
- w 1985 — wkładka oddzielna — *Mikołajowe niespodzianki* (m.in. komiks dla dzieci), kolor, A4, 12 stron i *Logiczne kwadraty*, B5, 34 stron, cena + 10 zł na Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami;

¹⁷ 24.01.1986.

¹⁸ 12.12.1986.

- w 1987 — wkładki oddzielne *Witajcie dzieci* — kolor, A4, 16 stron i *Nasze mikołajki* — kolor, A4, 16 stron oraz *Prawo lokalowe* — tekst — 50 tys. egz. Wydrukowaliśmy także barwne *Nowe wzory znaków i sygnałów drogowych* i *Flirt towarzyski* autorstwa P. Płatka;
 - dla bardzo licznej w tamtym czasie grupy polskich pracowników na Węgrzech wydaliśmy dwa specjalne wydania naszego pisma;
 - na zlecenie wydrukowaliśmy i dołączyli do „Gazety” tematyczne wkładki o Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem” w grudniu 1984 roku.
- Wydrukowaliśmy też cegiełki (6 rodzajów — nominalów) Społecznego Komitetu Budowy Zespołu Szkół Poligraficzno-Księgarskich im. Zenona Klemensiewicza. Te ostatnie druki wiązały się z przyjętym przez „Gazetę” patronatem nad budową nowego gmachu szkoły, gdyż wtedy mieściła się w Krakowie przy ulicy Podwale, bodajże w byłej czynszowej kamienicy. [...]

Podobieństwo pomiędzy Internetem a ówczesnym terenowym dziennikiem, jakim była „Gazeta” jest, z pewnego punktu widzenia, wyjątkowe. Powszechnie mówi się, że jak czegoś nie ma w Internecie, to po prostu nie istnieje. W tamtych czasach także powszechne było przekonanie, że jak o czymś „Gazeta” nie napisała, to znaczy, że nie miało to miejsca. Ten pogląd, prezentowany przez rozlicznych decydentów ciążył nad redakcją. Jak nie pisaliśmy o jakimś zebraniu partyjnym to oznaczało, że PZPR nie ma, albo nic nie robi, nie jest aktywna. Podobnie było ze wszystkimi innymi szczeblami i segmentami władzy, nie mówiąc już o osobach tę władzę sprawujących. I w ten sposób zbyt często nie tylko „Gazeta”, ale cała ówczesna prasa zamieniała się w dużej części w swoisty biuletyn informacyjny PZPR, rządu, ministrów, nie wyłączając szczebli dzielnicowych i gminnych.

Ale różnice pomiędzy tamtą „Gazetą” a współczesnymi dziennikami bynajmniej nie sprowadzają się do przedstawionych powyżej. O wiele ważniejszymi bowiem są następujące kwestie.

Chcieliśmy zmieniać, a przynajmniej poprawiać, otaczający nas świat w tych granicach, w jakich było to wtedy możliwe i realne. Dostrzegaliśmy jego wielorakie niedoskonałości i traktowaliśmy dziennikarstwo z całą powagą — jako misję. W tamtym czasie i ustroju, pomimo szeregu istotnych często ograniczeń, istniało jednak dla tych, którzy chcieli, spore pole aktywności. „Gazeta”, chociaż była dziennikiem PZPR, prezentowała bardzo często krytycyzm nie tylko w stosunku do wybranych fragmentów otaczającej rzeczywistości, ale także do partii, która głównie tę rzeczywistość kreowała. I działało się tak pomimo zakazów i czujności cenzury wielokroć w nasze teksty ingerującej. Ponadto, poza tekstami, byliśmy organizatorami różnego rodzaju działań i akcji o charakterze społecznym, mających na celu uzupełnienie bądź wypełnienie luk powstałych w wyniku inercji, braku wyobraźni czy też zwykłej głupoty różnych instytucji lub władz. Może to, co powyżej, ktoś nazwać idealistycznymi „mrzonkami”, ale świat przecież zmieniają tylko idealisci.

Nie byliśmy jako dziennikarze IV władzą i nie pretendowaliśmy do tego miana (abstrahując od realnych możliwości), a ja nie czułem się członkiem *establishmentu* mimo zasiadania we władzach partyjnych. Odpowiadaliśmy tylko za nasze działania, a nie za błędy władzy. Optowaliśmy aktywnie za ówczesnym ustrojem, bo w tamtych czasach po prostu inna realna alternatywa dla Polski nie istniała. Tę, która była należało jak najlepiej wykorzystać. „Gazeta Krakowska” będąc dziennikiem PZPR, która to informacja zamieszczona była pod jej tytułem, prezentowała więc *ex definitione* określoną opcję polityczną. Obecnie co prawda nie ukazują się tytuły prasowe określonych partii, co nie znaczy, że nie prezentują one jednoznacznych opcji politycznych, ekonomicznych, światopoglądowych i wszystkich innych. Nie ma dziś wydziałów prasy czy propagandy nadzorujących określone tytuły, ale istnieją o wiele bardziej skuteczne mechanizmy wpływu i kontroli. Oto jeden z przykładów:

Wszystkie media patrzyły na to, co napisała „Gazeta Wyborcza”, która w tamtym czasie stała u szczytu swojej potęgi, także finansowej. To, co się rano ukazało w „GW”, było wałkowane przez cały dzień przez inne redakcje, także telewizyjne i radiowe. To „Gazeta” decydowała o tematach i rodzaju debaty publicznej. Nie było żadnego innego podobnie znaczącego dyrygenta, który nadawałby ton całej orkiestrze. Monopol na rząd dusz w środowiskach opiniotwórczych należał do Michnika. To było oczywiste¹⁹.

I dlatego różnice w tej kwestii, pozornie tak wielkie pomiędzy tamtą a dzisiejszą prasą, mają często tylko charakter formalny.

Braliśmy odpowiedzialność za pisane słowo, czego najlepszym dowodem po dziś dzień jest powszechne przekonanie, że dana rzecz zgodna jest z prawdą „bo tak gazeta napisała”. Charakterystyczny jest fakt, iż powiedzenie „telewizja kłamie” nie miało „prasowego wariantu”.

Można było sobie pożartować na *prima aprilis* lub w okresie wakacyjnej kaniuku pisząc, że na osiedlu Prokocim w Krakowie grasuje dzik, który żywi się w miejscowych śmietnikach, ale niesprawdzonych wiadomości podawać nie było wolno. Dotyczyło to oczywiście materiałów redakcji, a nie np. wiadomości agencyjnych. Niestety takie sytuacje, w tym drugim wypadku, miały miejsce. W swoim archiwum przechowuję list Jana Józefa Szczepańskiego, który przytaczam w całości:

Oświadczenie. Oświadczam, że rzekomy mój list do Przewodniczącego Rady Państwa Prof. Henryka Jabłońskiego, odczytany na Konferencji Pisarzy Partyjnych w Warszawie, w dniu 25 lutego b.r. jest fałszerstwem. Dla wykrycia i ukarania sprawców tego fałszerstwa oddaję sprawę w ręce prokuratora. Prezes zawieszonoego Związku Literatów Polskich Jan Józef Szczepański. Kraków, dn. 26/11 /1983 r. Do wiadomości Redakcji:

¹⁹ L. Miller, *Anatomia siły, Czerwone i czarne*, Warszawa 2013, s. 235.

Trybuny Ludu, Życia Warszawy, Polityki, Gazety Krakowskiej, Tygodnika Powszechnego.

Zależało mi na publikacji powyższego oświadczenia przede wszystkim dlatego, że nie mogłem pogodzić się z takimi metodami walki politycznej. Po ingerencji cenzury interweniowałem w KK PZPR, a następnie w Wydziale Propagandy KC PZPR w dniu 8 lutego 1983 roku o godz. 20.30 — oświadczone, że „partyjna gazeta nie daje tej wiadomości”. Podobnie rzecz się miała z lekturami szkolnymi:

Oświadczam, że cała „afery lektur szkolnych” jest wymysłem, mającym na celu zniesławienie władz zawieszono Związku Literatów Polskich. Zarząd Główny ZLP nie powołał nigdy żadnej komisji do spraw lektur szkolnych i problemem tym nigdy się nie zajmował. Zarząd Główny zawsze przestrzegał zasady nie promowania dzieł swoich członków — ani do nagród, ani do lektur czy masowych wydań. Zasada ta była ściśle respektowana także i w ostatniej kadencji. Jan Józef Szczepański.

Obecnie tego rodzaju skrupułami, jak nieprawdziwa bądź niesprawdzona, a więc co najmniej wątpliwa informacja, mało kto się przejmuje — i tak się ukaże na łamach. Z tego rodzaju „poprawnością dziennikarską nowych czasów”, które wyznaczać zaczęła „Gazeta Wyborcza”, miałem okazję zetknąć się już jesienią 1989 roku. Udzieliłem wtedy, jako prezes RSW wywiadu dla GW, który przeprowadziła Anna Bikont. Był to okres szczególnej nagonki prasowej na RSW pod hasłem „zlikwidować molocha”, a więc i pytania, które dostałem nie były łatwe. Pomimo tego uznałem, że moja wypowiedź nie ułatwi prowadzonej akcji, a może nawet wniesie nowe spojrzenie na przyszłość polskiej prasy. Tekst wywiadu autoryzowałem wnosząc jedną, mało znaczącą poprawkę. I ukazał się bez zmian w dniu 16 listopada 1989 roku, ale pod znamienym tytułem: *Niczego co nasze Polsce nie oddamy*. Redakcja, której nie odpowiadały moje wywody i argumenty, postanowiła je zdezwuować wykorzystując swoje prawo do nadawania tytułów publikowanym tekstom (każda redakcja ma takie uprawnienia). Wzburzony starałem się bezskutecznie zadzwonić do Michnika, którego znałem od czasu Okrągłego Stołu. Wreszcie odbyłem telefoniczną rozmowę z Heleną Łuczywo — jego zastępcą — zarzucając „Wyborczej” ordynarną manipulację. W odpowiedzi usłyszałem coś na temat braku mojej koncyliacyjnej postawy w omawianym tekście, którą przecież prezentowałem przy Okrągłym Stole. I ani słowa przeproszam. Dodatkowy paradoks całej sytuacji polega na tym, iż przy powyższym tekście redakcja bardzo mnie przeproszała za popełnione błędy (jak tłumaczyła nie z winy GW) w opublikowanym wcześniej moim życiorysie. Tak więc, słowo „przepraszam”, gdy sama była winna — nie należy się.

Nie podlega żadnej dyskusji fakt, iż w Polsce Ludowej daleko było nie tylko do przestrzegania zasady wolności i pluralizmu mediów zawartej w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka uchwalonej przez ONZ w Paryżu w 1948 roku, ale także do gwarantowanej Konstytucją PRL wolności słowa (art. 71) i wolności mediów.

Przez te sformułowania rozumie się przede wszystkim możliwość swobodnego i publicznego głoszenia poglądów politycznych, zwłaszcza odmiennych od poglądów rządzących. Jednak doświadczenia lat 1989–2014 uczą, że tak często używany termin „wolna, niezależna prasa” jest głównie sformułowaniem teoretycznym jako wzór idealny. Praktyka stanowi coś odmiennego, i jeżeli mówić o wolności w prasie, to tylko ze względu na wielość idei i opcji politycznych prezentowanych przez poszczególne tytuły. Ten fakt oraz zniesienie instytucji cenzury ma oczywiście fundamentalne znaczenie dla realizacji idei wolności obywatelskich, ale i w tym zakresie różnorodność nie oznacza możliwości prezentacji całego wachlarza poglądów. Decyzje o druku poszczególnych tekstów podejmuje kierownictwo redakcji (zależne od właściciela tytułu) albo nawet właściciel (przykład z 2013 r. — Grzegorz Hajdarów i tekst o tytule na łamach „Rzeczypospolitej”) z określonych powodów politycznych, religijnych, ekonomicznych itp. Wielość i różnorodność mediów ogranicza oczywiście „monopol” pewnych tytułów i reprezentowanych opcji, ale jednocześnie nie zapewnia rzeczywistej wolności słowa ani też prezentacji wszystkich istotnych problemów. Także dlatego, że część z nich ma charakter niszowy, z różnych powodów docierając do wybranych, niewielkich grup czytelników. Do świadomości tak praktyków, jak i teoretyków prasy jakoś nie dociera fakt, iż mało kto czyta kilka skrajnych tytułów (ogląda lub słucha kilku skrajnych stacji) i porównując ich informacje, buduje sobie obraz rzeczywistości. Jest na odwrót — czytamy — słuchamy — oglądamy nam bliskie media, a co prezentują inni — o tym zdecydowana część publiczności nie wie. Nie wspominam tu o kwestii cenzury, która z tej „urzędowej” została zastąpiona często jeszcze bardziej skuteczną „wewnątrzredakcyjną”²⁰. Realizowane są więc skutecznie określone interesy w pozornej „wolności mediów”.

Prawdę o współczesnej polskiej prasie obrazują bardzo dobrze pewne fragmenty dzienników Waldemara Kuczyńskiego²¹ oraz dyskusja, która miała miejsce po ich opublikowaniu²², potwierdzając szereg powyżej przedstawionych opinii. A także — pozornie nieaktualny tekst sprzed ponad wieku:

W 1880 r. John Swinton, szkocko-amerykański dziennikarz i wydawca, w czasie jednego z bankietów, kiedy zaproponowano wzniesienie toastu za niezależną prasę, nie wytrzymał i wygarnął zebrany: „Każdy z obecnych tutaj wie, że niezależna prasa nie istnieje. Wy to wiecie i ja to wiem: żaden z was nie ośmieliłby się ogłosić na łamach gazety własnych opinii; a gdyby nawet się ośmielił, zdajecie sobie sprawę z tego, że nie zostałyby one nigdy wydrukowane. Dostaję ileś dolarów tygodniowo za to, żebyim powstrzymy-

²⁰ Por. m.in. www.sdp.pl/rozmowa-dnia-andrzej-stankiewicz — 21.03.2013. Z *Andrzejem Stankiewiczem o kneblowaniu tygodnika „Wprost” przez jego właściciela.*

²¹ W. Kuczyński, *Solidarność u władzy. Dziennik 1989–1993*, Gdańsk 2010; tenże, *Solidarność w opozycji. Dziennik 1993–1997*, Warszawa 2012.

²² *Za drzwiami politycznej kuchni. Rozmowa z Waldemarem Kuczyńskim...*, „Angora”, 24.02.2013.

wał się od wyrażania własnych poglądów i opinii w gazecie, w której pracuję. Wielu tu obecnych otrzymuje podobną zapłatę na identycznych zasadach. Gdyby ktoś z was był na tyle szalony, by uczciwie opisać sprawy, znalazłby się natychmiast na bruku. Gdybym dopuścił, by moje prawdziwe opinie zostały opublikowane w którymkolwiek numerze gazety, straciłbym pracę w niecałe 24 godziny. Praca dziennikarza polega na niszczeniu prawdy, łganiu na potęgę, deprawowaniu, zohydżaniu, czołganiu się u stóp mamony, sprzedawaniu siebie, sprzedawaniu swojego kraju i swojego narodu w zamian za chleb swój powszedni, czy też — co się sprowadza do tego samego — za swoją pensję. Wiecie to wy i wiem to ja. Cóż to więc za szaleństwo wznosić toast za niezależną prasę! My, dziennikarze, jesteśmy wasalami, instrumentami w rękach bogaczy, którzy potajemnie spiskują i kierują wszystkim zza kulis! My jesteśmy ich marionetkami! To oni pociągają za sznurki, a my tańczymy! Nasz czas, nasz potencjał i nasze talenty są w rękach tych ludzi. Jesteśmy intelektualnymi prostytutkami!²³.

Ale jeszcze lepiej tę prawdę przedstawili Stefan Kisielewski i Brunon Miecugow:

Na początku przemian ustrojowych mało kto dostrzegał i rozumiał, jak ogromne znaczenie ma pieniądz. Wielu dziennikarzy wpadło w euforię sądząc — jakże naiwnie — że nastają czasy pełnej swobody, że każdy będzie do woli korzystał z wolności słowa i prawa do nieskrępowanej niczym wypowiedzi. Wtedy często cytowałem im zdanie, które usłyszałem od Stefana Kisielewskiego: „Nie zwracajcie mi głowy prawami człowieka. Człowiek ma tyle praw, ile ma pieniędzy.”... Tym, którzy cieszą się, że mamy dziś w mediach pełny pluralizm, odpowiadam: „Cóż to za pluralizm, skoro we wszystkich gazetach czy stacjach telewizyjnych i radiowych siedzi ten sam redaktor naczelny, który nazywa się ZYSK?”²⁴

PRL-owską cenzurę z Mysiej zastąpiła obecnie wynikająca z upadającego strachu przed właścicielem autocenzura dziennikarzy. Z tamtą można było dyskutować (wiem co piszę, bo miałem z nią osobiście nie raz do czynienia), z obecną nikt nawet się nie odważy. „Ruki pa szwam” i wykonać, a jak nie to na bruk.

Jeżeli nie można więc było napisać prawdy, to pozostawało przemilczenie danej kwestii. Najlepszym przykładem jest tu sprawa mordu katyńskiego: poza okresem stalinowskim w następnych latach nikt nie odważył się w całej polskiej prasie napisać, iż jego sprawcami byli Niemcy. Kto chciał i tym się interesował, ten wiedział, że mordowało NKWD — to była jedna z powszechnie znanych tajemnic. Katyń stanowił tabu w oficjalnej informacji w PRL — możliwości prezentowania prawdy o mordzie katyńskim przez całe lata nie istniały²⁵. Wynikało to z ograni-

²³ Cytuję za S. Latkowski, „Wprost” 2013, nr 26.

²⁴ B. M i e c u g o w, *Grzeszne życie Brunona Miecugowa*, Kraków 2008, s. 249.

²⁵ Gwoli prawdy trzeba jednak przyznać, że informację o prawdziwych mordercach z Katynia zamieścił Roman B r a t n y w swojej książce pisanej jeszcze w czasach stalinowskich, a wydanej przez WL w 1957 roku, *Kolumbowie rocznik 20*: „...nie wiem, czy wystarczy tego zwału trupów poległych z sowieckiej ręki...”, s. 100.

czonej suwerenności Polski Ludowej i, coraz bardziej słabnących w miarę upływu lat, ale jednak ważących ingerencji radzieckich. Dość wspomnieć, iż jeszcze latem 1988 roku radca minister pełnomocny Sienkiewicz z ambasady ZSRR w Warszawie ostro zaprotestował po wydrukowaniu na łamach „Polityki”, w nr 31 z dnia 30 lipca, referatu N.S. Chruszczowa *O kulcie jednostki i jego następstwach*, wygłoszonego na XX Zjeździe KPZR w 1956 roku, uzasadniając to brakiem zgody strony radzieckiej na powyższą publikację (byłem aktywnym uczestnikiem tego wydarzenia). Oczywiście, że w ten sposób czytelnik nie był informowany o wielu kwestiach, ale ta *spécialité de la maison* ówczesnego ustroju, jak się okazuje, praktykowana jest po dziś dzień, choć nie ma już PZPR i urzędu cenzury. Marginalizacja bądź przemilczanie szeregu istotnych treści i wydarzeń z Polski i świata oraz wybiórcze, a nawet tendencyjne ich przedstawianie, jest codzienną praktyką współczesnych polskich mass mediów. Z ich powszechnym ostracyzmem spotkała się bardzo dobrze napisana książka Marka Barańskiego *Nogi Pana Boga*²⁶, która w jednej z części przedstawiała nieznane powszechnie fakty dotyczące płk. Kuklińskiego, podważając stworzoną o nim legendę. Do skandali można zaliczyć wielokrotne telewizyjne transmisje z pożegnania zmarłego premiera Izraela Ariela Szarona w czasie, gdy odszedł premier polskiego rządu Zbigniew Messner, o którym to fakcie nie wspomiano. „Gazeta Wyborcza” przynosząca z dnia na dzień na eksponowanych miejscach obszernie materiały na temat bliskich jej zmarłych, „już” po pięciu dniach na 23 stronie przypominała Zbigniewa Messnera. Natomiast relacjonując uroczystości 90. rocznicy urodzin Wojciecha Jaruzelskiego, tak „Gazecie Wyborczej”, jak całym polskim mediom jakoś „umknął” fakt, że Jubilat otrzymał niezwykle serdeczny list od byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych George’a Busha²⁷. Gwoli prawdy muszę dodać, że od bardzo wielu lat jestem czytelnikiem „Gazety Wyborczej”, znajdując w niej od czasu do czasu, głównie w sobotnio-niedzielnym wydaniu, materiały stojące na wysokim poziomie. Pusty śmiech wywołuje natomiast slogan reklamowy TVN 24: „Cała prawda całą dobę”. Z Internetu: do słynnej triady ks. Tischnera (święta prawda, tys prawda, g...no prawda) doszła jeszcze „prawda wg TVN-u”. Starsi słuchacze przypomną sobie zapewne podobne hasło Radia Wolna Europa — „Nadajemy wiadomości dobre czy złe, ale zawsze prawdziwe”. W tym wypadku nie twierdzono przynajmniej, że przedstawiano wszystkie prawdziwe wiadomości [...].

Warto jeszcze wspomnieć o prestiżu zawodu dziennikarza w PRL i obecnie, co w sposób nie podlegający dyskusji prezentują wyniki badań przeprowadzonych przez CBOS²⁸. W rankingu 30 zawodów ze względu na poważanie społeczne, zawód

²⁶ Wydawnictwo Wilga, Warszawa 2010.

²⁷ Szerzej: J. Widacki, *Urodziny Generała*, „Przegląd”, 15–21.07.2013.

²⁸ Centrum Badania Opinii Publicznej, Komunikat z badań, *Prestiż zawodów*, Warszawa, listopad 2013.

dziennikarza znalazł się aktualnie na 21. pozycji, a wyprzedza go m. in. sprzątaczką, policjant i sprzedawca w sklepie. Według znormalizowanej średniej oceny prestiżu w 1975 i 1987 roku, zawód ten miał 71 punktów, a w latach następnych coraz mniej, aż do 63 obecnie. Można się tylko pocieszać, że ostatnie miejsca w rankingu zajmują poseł na Sejm i działacz partii politycznej.

I na koniec jeszcze jedna ważąca różnica: „Gazeta Krakowska” nie była ani radziecką ani, jak obecnie, niemiecką własnością. Była dziennikiem wydawanym przez polskiego właściciela [...].

W omawianym okresie byliśmy wielokrotnie honorowani: „Gazeta”, jej kierownictwo, poszczególne działy i dziennikarze. I to na ogół nagrodami I stopnia. Ale najważniejszym wyróżnieniem był niezmiennie utrzymujący się bardzo wysoki nakład tytułu i satysfakcja z uczestnictwa w tym zespole redakcyjnym. To nie było tylko nasze miejsce pracy i zarobkowania, do którego przychodzi się na osiem godzin aby odwalić zadaną robotę, z trudem doczekać do piątku i wreszcie mieć święty spokój oraz czas na realizację własnych zainteresowań. Z czasem staliśmy się zgraną, zharmonizowaną ekipę, w której każdy, na miarę swych talentów i możliwości wносił liczący się wkład w dobro wspólne, jakim był nasz tytuł. Śmiem twierdzić, że dla prawie wszystkich dziennikarzy „Gazeta” była przede wszystkim wyjątkową okazją do spełnienia się i zrealizowania, stanowiąc sens ich nie tylko zawodowego życia. Świadczą o tym cytowane licznie bardzo dobre teksty, zaskakujące i oryginalne pomysły, mądre i głębokie wypowiedzi. Na łamach tytułu pojawiły się wszystkie rodzaje i gatunki dziennikarskie²⁹ prezentując całe *spectrum* problemów ważnych i drugorzędnych, światowych, krajowych i regionalnych, kwestii bezspornych i dyskusyjnych. Wyjątkowo, jak na dziennik terenowy, przedstawialiśmy sprawy i osoby o znaczeniu co najmniej ogólnopolskim. Kontynuowaliśmy najlepsze rozwiązania formalne naszych poprzedników i śmiem również twierdzić, że często twórczo je rozwijaliśmy.

Nie tylko prasoznawcy dobrze wiedzą, że o ocenie znaczenia danego tytułu niekoniecznie decyduje prosta suma materiałów o określonej treści w nim zamieszczonych. Jeden szczególny tekst znaczy czasem więcej niż miesięczne czy kwartalne wydania pisma. Nieocenionych materiałów, z różnych zresztą dziedzin, ukazało się w tamtym czasie w „Gazecie” bardzo wiele. Abstrahując od partyjności tytułu, odwoływały się one do takich lewicowych wartości, jak sprawiedliwość i równość społeczna oraz racjonalne myślenie, reprezentowały polską rację stanu, taką jaką w ówczesnych warunkach ustrojowych i geopolitycznych była realistyczna i odpowiedzialna.

²⁹ Por. K. Wolny-Zmorzyński, A. Kaliszewski, W. Furman, *Gatunki dziennikarskie. Teoria, praktyka, język*, Warszawa 2009.